



STEPHEN
KING
BEZSENNOŚĆ

1

Nikt — a już z pewnością nie doktor Litchfield — nie powiedział Ralphowi Robertsowi zwyczajnie i po prostu, że jego żona umiera, ale nadeszła chwila, kiedy Ralph to zrozumiał i nikt niczego mu już mówić nie musiał. Miesiące dzielące marzec od lipca pozostawiły po sobie wspomnienie nie-mego krzyku bólu, chaosu i rozpacz: rozmowy z lekarzami, wieczorne jazdy z Carolyn do szpitala, wyprawy na specjalistyczne badania do innych stanów i innych szpitali (większość czasu w trakcie tych wypraw Ralph spędził dziękując Bogu za polisę żony: Blue Cross/Major Medical), godziny przesiedziane w bibliotece publicznej w Derry, poświęcone najpierw poszukiwaniu rozwiązań, które mogli przeoczyć lekarze, później zaś na poszukiwaniu nadziei... brzytwy, której można by się było chwycić. Przez te cztery miesiące Ralph Roberts czuł się niczym pijak podczas jakiegoś koszmarnego karnawału, w czasie którego ludzie jadący na górskiej kolejce wrzeszczą z prawdziwego strachu, ludzie zagubieni w gabinecie luster zgubili się rzeczywistość, a karty, garbuse i kobiety z brodami patrzą na człowieka z fałszywymi uśmiechami na ustach i przerażeniem w oczach. Ralph zaczął odbierać życie w ten sposób gdzieś w połowie maja, a gdy nadszedł czerwiec, zaczął również pojmować, że handlarze, którzy przy tej alejce ustawili stoliki, sprzedają wyłącznie lewe lekarstwa, a płynąca z katarynki wesoła melodia niczym się nie różni od marsza pogrzebowego. Karnawał? Tak — karnawał. Karnawał dusz potępionych.

Końcem wiosny i początkiem lata 1992 roku próbował odpędzić od siebie te obrazy — i to coś znacznie straszniejszego, co się za nimi kryło — ale na przełomie czerwca i lipca stało

się to w końcu całkiem niemożliwe. Fala upałów, najgorsza od 1971 roku, ogarnęła środkowe Maine; Derry gotowało się niczym we wrzątku, pociło w parnym powietrzu w temperaturze przekraczającej trzydzieści stopni. Życie w mieście, nigdy nie przypominającym ruchliwej metropolii, zamarło całkowicie. Cisza zapanowała w nim niepodzielnie, a w tej ciszy Ralph Roberts po raz pierwszy usłyszał tykanie zegara śmierci i pojął, że podczas gdy chłód i zieleń wiosny zmieniły się w gorący upał lata, skromne szanse Carolyn spadły do zera. Carolyn miała umrzeć. Być może nie tego lata — lekarze twierdzili, że w rękawach mają jeszcze całą masę asów, i z całą pewnością mówili prawdę — ale jesienią lub zimą Carolyn, towarzysząca mu wiernie przez tak wiele lat życia, jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochał, miała umrzeć. Próbował zaprzeczyć temu faktowi, wymyślał sam sobie od idiotów, ale w ciężkiej ciszy, w upalnym, dusznym powietrzu ze wszystkich kątów dobiegało go tykanie... tykanie zegara śmierci słyszał nawet w czterech ścianach mieszkania.

Najgłośniej rozlegało się ono jednak z wnętrza samej Carolyn, a kiedy obracała ku niemu spokojną, bladą twarz — by, na przykład, poprosić go o włączenie radia, którego chciała posłuchać, przygotowując im fasolę na kolację, albo poszedł do sklepu i przyniósł jej loda na patyku — dostrzegał, że i ona słyszy ten zegar. Dostrzegał to w jej ciemnych oczach, najpierw tylko wtedy, gdy była przytomna, lecz potem także, gdy jej wzrok przyćmiewały środki przeciwbólowe. Wtedy już tykanie było bardzo głośnie i kiedy w te upalne letnie noce leżał obok niej w łóżku — zwykła powłoczka wydawała się ważyć ładnych parę kilo i chyba wszystkie psy w Derry wyły do księżyca — słuchał go, słuchał zegara śmierci tykającego w ciele Carolyn i miał wrażenie, że serce mu pęknie ze smutku... i ze strachu. Ile będzie musiała wycierpieć, nim nadejdzie koniec? Ile on będzie musiał wycierpieć? Jak uda mu się żyć bez niej?

W tym właśnie przerażającym okresie życia Ralph zaczął coraz częściej spacerować w upalne letnie popołudnia i długie mroczne wieczory. Do domu wracał często tak zmęczony, że nie mógł jeść. Spodziewał się, że Carolyn zgani go za te jego nowe obyczaje, że powie: „Daj sobie spokój, ty stary wariacie! Zabijesz się, jeśli nie przestaniesz łązić po tym upale”, lecz ona nigdy nic takiego nie powiedziała, więc w końcu zdał sobie sprawę, że po prostu nic szczególnego nie dostrzegła. Wie-

działa, że wychodzi... co to, to tak, owszem, ale nie że spaceruje kilometrami, że często wraca do domu drżąc ze zmęczenia od stóp do głów, bliski udaru. Dawno, dawno temu Ralphowi wydawało się, że Carolyn widzi wszystko, nawet jeśli chodziło tylko o przedziałek we włosach kilka milimetrów wyżej lub niżej. Lecz to przeszło, minęło, guz mózgu pozbawił ją zdolności obserwacji, tak jak miał pozbawić ją życia.

Spacerował więc dalej, ciesząc się upałem, choć czasem kręciło mu się od niego w głowie i dzwoniło w uszach. Cieszył się nim dlatego właśnie, że dzwoniło mu w uszach, a zdarzały się nawet godziny, kiedy w głowie kręciło mu się tak bardzo, a w uszach dzwoniło tak głośno, że nie słyszał nawet tykania zegara śmierci.

Podczas tego upalnego lipca przeszedł piechotą niemal całe Derry; stary człowiek o wąskich ramionach, rzędzących siwych włosach i wielkich dłoniach wyglądających tak, jakby nadal nie bały się ciężkiej pracy. Chodził Witcham Street na Pustkowie, Kansas Street na Nebolt Street i Main Street aż na Most Całusów, ale najchętniej wędrował na zachód, wzdłuż Harris Avenue, przy której w ich domku nadal piękna i nadal kochana Carolyn spędzała ostatnie miesiące życia, nieprzytomna z bólów głowy i morfiny, na Harris Avenue Extension biegnącą do portu lotniczego hrabstwa Derry. Szedł pozbawioną drzew, wydaną na pastwę bezlitosnego słońca ulicą, aż nogi uginały się pod nim, zawracał, gdy miał trudności z utrzymaniem równowagi.

Odpoczywał na zacienionym terenie piknikowym, leżącym w pobliżu służbowego wjazdu na lotnisko. Nocami piły tu i zabawiały się dzieciaki, noce pulsowały muzyką rap z wielkich przenośnych radiomagnetofonów, ale w ciągu dnia miejsce to należało niemal wyłącznie do Ralph'a i grupy jego przyjaciół, których Bill McGovern nazywał Starymi Piernikami z Harris Avenue. Stare Pierniki zbierały się na terenie piknikowym, by pograć w szachy i w durnia albo po prostu pogadać. Wielu z nich Ralph znał od lat (ze Stanem Eberlym chodził nawet do podstawówki) i czuł się w ich towarzystwie całkiem swobodnie... pod warunkiem, że nie byli zbyt wścibscy. Na ogół nie byli. Prawie wszyscy należeli do starej jankeskiej szkoły i wyznawali zasadę, że jeśli mężczyzna nie chce o czymś mówić, to jest to tylko jego sprawa.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek Ralph się zorientował, że z jego sąsiadem, Edem Deepneau, coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Tego dnia zaszedł dalej niż zazwyczaj, prawdopodobnie dlatego, że na niebie pojawiły się ciemne burzowe chmury, powietrze zaś — choć z rzadka — poruszał jednak chłodny wiaterek. Wpadł w coś w rodzaju transu, o niczym nie myślał, nie patrzył na nic oprócz zakurzonych nosków adidasów. Do przytomności doprowadził go dopiero samolot United Airlines — lot z Bostonu o czwartej czterdzieści pięć — który przeleciał mu nad głową z ogłuszającym rykiem silników.

Patrzył, jak odrzutowiec leci nad starymi torami kolejowymi i nad ogrodzeniem z drutów kolczastych wzdłuż granicy terenów lotniska, patrzył, jak ląduje i spod kół unoszą się niewielkie obłoczki dymu. Potem zerknął na zegarek, zorientował się, jak pusto jest dookoła, podniósł wzrok i rozszerzonymi ze zdumienia oczami spojrzał na pomarańczowy dach baru „Howard Johnson’s”. Rzeczywiście, wpadł w trans. Przeszedł z osiem kilometrów, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, ile mu to zabrało czasu.

Ile czasu zabrało to Carolyn? — szepnął mu w głowie jakiś głos.

Tak, ile czasu zabrało to Carolyn. Carolyn wróciła do domu, odlicza pewnie minuty dzielące ją od kolejnego darvonu complex, on zaś utknął tu, przy lotnisku... tu, praktycznie w połowie drogi do Newport.

Ralph spojrzał w niebo i po raz pierwszy tak naprawdę dostrzegł sine jak sińce chmury gromadzące się nad lotniskiem. Nie oznaczały jeszcze deszczu, a już na pewno nie zaczną padać za chwilę, ale jeśli zaczną, on z pewnością przemoknie do suchej nitki — jedynym schronieniem w okolicy była szopa na terenie piknikowym przy pasie startowym nr 3, a właściwie zwykła rozchwiana wiata, trochę śmierdząca piwem.

Jeszcze raz spojrzał na pomarańczowy dach „HoJo”, po czym sięgnął do kieszeni i pomacał plik banknotów spiętych srebrnym uchwytem. Dostał go od Carolyn, w prezencie na sześćdziesiąte piąte urodziny. Kto mu zabroni zadzwonić po taksówkę... oprócz spojrzenia taksówkarza. Już sobie wyobrażał: „Głupi staruchu” — mówiły jego oczy, wpatrzone w niego we wstecznym lusterku. „Głupi staruchu, nie powinieneś tak leżeć przed siebie w ten upał. Gdybyś się wybrał popływać, utonąłbyś”.

To paranoja, Ralph — powiedział mu głos w głowie, bardzo

przypominający teraz gdaczący, pełen wyższości głos Billa McGoverna.

Dobra, może to paranoja, a może i nie, ale już raczej zaryzykuje i wróci piechotą.

A jeśli nie będzie to zwykły deszcz? Zeszłego lata, w sierpniu, wiało tak strasznie, że wichura powybiła wszystkie okna wychodzące na zachód.

Niech wieje, powiedział sobie Ralph. Mnie tam byle co nie uszkodzi.

Obrócił się i ruszył z powrotem w kierunku miasta; za każdym krokiem spod starych adidasów unosiły się obłoczki kurzu z wyschniętej ziemi. Z zachodu, od strony gdzie zbierały się chmury, dobiegły go pierwsze pomruki grzmotu. Słońce, choć już zakryte, nie poddawało się jednak bez walki, zdobiąc złotem krawędzie chmur i przeświecając przez nie blaskiem jakby gigantycznego projektora filmowego. Ralpha radowało, że zdecydował się na spacer, mimo iż bolały go nogi i dokuczał kręgosłup.

No, pomyślał. Przynajmniej wreszcie zasnę. Będę spał jak jakiś cholerny kamień.

Po lewej ręce miał teraz skraj lotniska — wielkie pole zrudziałej trawy z zanurzonymi w niej, niczym wrak w oceanie, zardzewiałymi szynami kolejowymi. Daleko, za siatką, widział boeinga United Airlines wielkości dziecinnnej zabawki, kołującego w stronę terminalu, który przyjmował także samoloty Deltę. Nagle jego uwagę przyciągnął inny wehikuł: samochód odjeżdżający sprzed terminalu General Aviation, po tej stronie lotniska. Samochód jechał asfaltową alejką do bocznej bramy wychodzącej na Harris Avenue Extension. Ralph widywał ostatnio sporo wyjeżdżających przez nią samochodów — zaledwie jakieś siedemdziesiąt metrów dzieliło ją od miejsca, w którym zbierały się Stare Pierniki. Po chwili nawet rozpoznał wóz, datsuna Eda i Helen Deepneau. Ale pędzi!

Stanął na poboczu. Patrzył na jadący w stronę bramy samochodzik, nie zdając sobie sprawy z tego, że zaciska dłonie. Z zewnątrz bramę otwierało się specjalną plastikową kartą, od środka sprawę załatwiała fotokomórka, ale znajdowała się ona blisko, bardzo blisko ogrodzenia i przy tej prędkości...

W ostatniej chwili (przynajmniej tak mu się wydawało) brawowy samochodzik zatrzymał się z piskiem opon. W powietrze uniosły się obłoczki dymu z palonej gumy, niczym spod kół lądującego boeinga. Brama zaczęła się powoli unosić, Ralph rozluźnił zaciśnięte w kieszeniach pięści.

Z otwartego okna po stronie kierowcy wyłoniła się ręka i zaczęła machać w górę i w dół, najwyraźniej popędzając pełznącą powoli po prowadnicach bramę. Było w tym coś tak absurdalnego, że Ralph aż się uśmiechnął, uśmiech jednak spęłzył mu z warg, zanim odsłonił zęby. Z zachodu, tam gdzie zbierały się chmury, wiał coraz silniejszy wiatr i wiatr ten niósł w jego kierunku głos kierowcy datsuna.

— Ty sukincóro! Ty kurwo! Ty piczo! W dupę ci wsadzę! Rusz się! Rusz się, ty pieprzona dziwko! Pieprzona dziwka! Pierdolona kurwa! Picza!

— To nie może być Ed Deepneau — mruknął Ralph. Ruszył przed siebie, nie zdając sobie z tego sprawy. — To nie może być Ed!

Ed Deepneau, chemik, pracował jako naukowiec w Hawking Laboratories w Fresh Harbor i był jednym z najłagodniejszych, najuprzejmniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać. I on, i Carolyn bardzo lubili zarówno jego, jak jego żonę Helen, nie wspominając już o ich maleńkiej córeczce Natalie. Tylko wizyty Natalie pozwalały Carolyn zapomnieć o tym, co się z nią dzieje. Wyczuwając to, Helen często ją do nich przyprowadzała, a Ed bynajmniej nie protestował. Ralph doskonale zdawał sobie sprawę, iż na świecie jest mnóstwo mężczyzn, którzy nie byliby zachwyceni tym, że ich żona wodzi córeczki do staruszków sąsiadów za każdym razem, gdy dziecko robi coś nowego i szalenie interesującego, zwłaszcza że przysłowiowa babunia jest śmiertelnie chora. Ralph miał wrażenie, że gdyby Ed powiedział komuś: „Idź do diabła”, to wyrzuty sumienia nie pozwoliłyby mu przespać najbliższej nocy, tyle że teraz...

— Ty pierdolona dziwko! Rusz tę tłustą dupę, słyszysz? Dziwka! Kurwa!

Był to głos Eda. Dzieliło ich dwieście, może trzysta metrów, lecz był to niewątpliwie głos Eda!

Silnik datsuna zawarczał i przycichł. Zawarczał i przycichł. Zawarczał i przycichł — zupełnie jakby jakiś smarkacz w wyścigowym wozie czekał na zielone światło. Z rury wydechowej ziały kłęby niebieskiego dymu. Gdy tylko brama uniosła się wystarczająco wysoko, datsun wystartował przed siebie z rykiem silnika i Ralph miał wreszcie okazję przyjrzeć się z bliska jego kierowcy. Oczywiście był nim Ed.

Podskakując i kołysząc się, samochód przejechał krótki odcinek gruntowej drogi dzielącej bramę od Harris Avenue Extension. Nagle rozległ się ryk klaksonu i Ralph dostrzegł nie-

bieskiego forda rangera, który jechał Harris Avenue na zachód, skręcającego gwałtownie, by uniknąć zderzenia. Kierowca pikapa za późno jednak dostrzegł niebezpieczeństwo, Ed zaś najwyraźniej nie zauważył go w ogóle (dopiero później przyszło Ralphowi do głowy, że mógł staranować forda celowo). Zapiszczały opony, rozległ się tępy huk i datsun wbił się maską w bok pikapa, przesuwając go aż za żółtą, środkową linię. Maską samochodu Eda wygięła się w harmonijkę, wyskoczyła z zawiasów i uniosła lekko, na asfalt poleciało szkło, po czym oba samochody zamarły pośrodku drogi, wczepione w siebie i przypominające abstrakcyjną rzeźbę.

Przez jakiś czas Ralph stał nieruchomo patrząc, jak pod maską datsuna rośnie ciemna kałuża oleju. W ciągu blisko siedemdziesięciu lat życia widział wiele wypadków — głównie stłuczek, ale jeden czy dwa były poważniejsze — i zawsze zdumiewało go, jak szybko wszystko się wówczas dzieje i jakie wydaje się mało dramatyczne. Wcale nie jak na filmie — kamera jest w stanie zwolnić przebieg zdarzeń, na wideo można nawet kilka razy obejrzeć sobie spadający ze skalnego zbocza wóz, jeśli ma się na to ochotę. W rzeczywistości istnieje tylko kilka nakładających się niemal na siebie, zamazanych obrazów, a potem znajoma kombinacja dźwięków: pisk opon, tępy trzask metalu uderzającego o metal, brzęk tłukącego się szkła... i *voila, tout fini!*

Tego typu sprawy regulował nawet swoisty protokół: „Jak Należy Zachować Się W Przypadku Stłuczki”. Jasne, protokół, rozmyślał Ralph. W Derry każdego dnia zdarzało się ze dwadzieścia stłuczek, a w zimie, gdy spadł śnieg i ulice robiły się śliskie, nawet ze dwa razy tyle. Wysiada się, spotyka przeciwnika w miejscu, gdzie samochody się stuknęły (i gdzie najczęściej jeszcze tkwią), patrzy i potrząsa głową. Czasami — najczęściej — fazę tę charakteryzują padające z obu stron ostre słowa: pośpieszna ocena swoich i cudzych umiejętności, wzajemne oskarżenia i groźby oddania sprawy w ręce prawników. Prawdopodobnie wplątani w stłuczkę kierowcy używając zbyt wielu niepotrzebnych słów, w ten sposób oskarżają się nawzajem: „Widzisz, idioto, śmiertelnie mnie wystraszyłeś!”

Ostatnią figurą tego żalosnego w gruncie rzeczy tańca jest zazwyczaj Wymiana Świętych Numerów Ubezpieczeniowych. W tym momencie przeciwnicy odzyskują na ogół kontrolę nad rozszalałymi emocjami — to znaczy jeśli nikt nie został ranny, najwyraźniej tak jak w tym przypadku — i czasami nawet ściskają sobie dłonie!

Ralph przygotował się duchowo na ten właśnie taniec, który mógł sobie obejrzeć z wygodnego miejsca oddalonego o sto pięćdziesiąt metrów od sceny wydarzeń, lecz gdy tylko otworzyły się drzwi datsuna, zrozumiał, że wszystko tu odbędzie się inaczej, że wypadek nie tyle się wydarzył, co dzieje się nadal. A już z całą pewnością to przedstawienie nie skończy się dżentelmeńskim uściskiem dłoni.

Drzwi datsuna nie tyle się otworzyły, co wystrzeliły z zawiasów. Ed Deepneau wyskoczył zza kierownicy i po prostu zamarł, wyprostowany; jego wąskie ramiona wyraźnie rysowały się na tle ciemnych chmur. Miał na sobie dżinsy i podkoszulek — Ralph zorientował się nagle, że aż do dziś ani razu nie widział go w koszuli nie zapinanej pod szyją. Miał też coś na szyi — coś długiego i białego. Chusta? Wyglądało to jak chusta, ale kto by nosił na szyi chustę w tak ciepły dzień?

Przez dłuższą chwilę Ed stał w miejscu. Wydawało się, że patrzy wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Zjeżone na wąskiej głowie krótkie włosy upodabniały go do koguta, z postawionym grzebieniem lustrującego podwórko w poszukiwaniu intruza, i Ralpha coś w tym podobieństwie zaniepokoiło. Pewnie chodziło o to, że nigdy nie widział Eda wyglądającego właśnie tak, ale nie tylko to. Po prostu nigdy nie widział nikogo wyglądającego właśnie tak.

Na zachodzie zagrzmiało głośniejsze niż poprzednio. Burza wyraźnie się zbliżała.

Z faceta, który wylazł zza kierownicy ford, dałoby się wykroić dwóch, a najprawdopodobniej trzech Edów. Wielki brzuch zwisał mu na pasek spodni khaki, plamy potu pod pachami białej koszulki polo wielkością dorównywały talerzom. Gruby odsunął z czoła daszek reklamowej czapeczki West Side Gardeners, by lepiej przyjrzeć się gościowi, który go staranował. Twarz o wielkiej, masywnej szczęce miał śmiertelnie bladą, z wyjątkiem dwóch jaskrawoczerwonych plam na policzkach.

Oto pierwszej klasy kandydat do ataku serca, pomyślał Ralph. Gdybym był bliżej, z pewnością dostrzegłbym fałdy tłuszczu na jego uszach!

— Hej! — krzyknął na Eda Gruby. Z potężnej piersi wydobywał się absurdalnie cienki, niemal piskliwy głosik. — Gdzieś ty zdobył prawo jazdy? Kupiłeś u Searsa i Roebucka?

Kręcąca się na wszystkie strony głowa Eda zamarła, a potem powoli obróciła się w stronę głosu, skierowała się na niego

niczym dziób odrzutowca na wiązkę promieni radaru. Ralph po raz pierwszy dostrzegł wówczas oczy Eda Deepneau i strach niemal wyczuwalnie zaciążył mu na sercu. Pobiegł przed siebie najszybciej jak potrafił, Ed tymczasem ruszył w stronę Grubego w przepoconej koszulce i czapce-reklamówce. Szedł na sztywnych nogach, wyprostowany, zupełnie inaczej, niż chodził zazwyczaj, kołysząc się i pociągając nogami.

— Ed! — krzyknął Ralph, lecz coraz silniejszy — i coraz chłodniejszy, z pewnością będzie padać — wiatr porwał jego krzyk, zanim udało mu się wydostać na światło dzienne. W każdym razie Ed nawet nie drgnął. Ralph zmusił się do jeszcze szybszego biegu, kompletnie zapominając o bólu nóg i krzyża. W szeroko rozwartych, nieruchomych oczach Eda Deepneau dostrzegł mord. Nie opierał tej oceny na żadnym wcześniejszym doświadczeniu, ale nie sądził, by ktoś widząc takie spojrzenie, miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości: tak patrzą na siebie koguty, nim rzucą się do walki, dziobiąc i machając skrzydłami. — Ed! Hej, Ed! Ed, słuchaj, to ja!

Ed nie zareagował, choć musiał usłyszeć jego okrzyk, bo Ralph znajdował się już blisko. Gruby obejrzał się, w oczach miał niepokój, nawet strach. Odwrócił się i uspokajającym gestem wyciągnął przed siebie ręce.

— Słuchaj pan, możemy porozmawiać...

Nie dane mu było skończyć. Ed zrobił jeszcze jeden szybki krok, podniósł smukłą, bardzo bladą na tle ciemnych chmur dłoń i wałnął nią Grubego we wcale potężną szczękę. Trzask przypominał huk wystrzału z dziecięcej wiatrówki.

— Ile ich zabiłeś? — spytał.

Gruby oparł się ciężko o swego pickupa. Szczęka mu opadła, usta miał szeroko rozwarte. Ed parł przed siebie, sztywno, jak przedtem. Podszedł tak blisko, że zetknęli się brzuchami, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Gruby jest od niego dziesięć centymetrów wyższy i dobre pięćdziesiąt kilogramów cięższy. Wyciągnął rękę i jeszcze raz uderzył go w twarz.

— No już, syp, twardzielu. Ile ich zabiłeś? — wrzasnął, ale jego głos zginął w huku pierwszego prawdziwego grmotu nadchodzącej burzy.

Gruby odepchnął go. Nie był to gest agresji, lecz zwykłego strachu. Ed poleciał do tyłu, aż na zgniecioną maskę datsuna, odbił się od niej natychmiast, podniósł pięści. Gotów był rzucić się na przeciwnika, przypartego do swego forda, z krzywo siedzącą na głowie czapką i koszulą wyłazącą mu ze spodni

z tyłu i po bokach. Ralphowi nagle coś się przypomniało — oglądany przed laty komiks „Three Stooges”, Larry, Curly i Moe bez pojęcia bawiący się w malarzy — i poczuł przypływ sympatii dla Grubego, który nie tylko wyglądał śmiesznie, ale i sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego.

Ed Deepneau bynajmniej nie wyglądał śmiesznie. Ze skrzywionymi w grymasie wargami, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, coraz bardziej przypominał gotowego do walki koguta.

— Wiem, czym się zajmujesz — powiedział Grubemu. — Co ty tu próbujesz grać za komedię? Czy naprawdę wierzysz, że tobie i tym innym rzeźnikom zawsze wszystko będzie uchodzić na sucho...?

W tym momencie pojawił się Ralph, dyszący jak stara dorożkarska szkap, i chwycił go za ramiona. Gorąco, które poczuł pod cienkim podkoszulkiem, wyprowadziło go z równowagi — czuł się tak, jakby dotknął pieca — a kiedy Ed się na niego obejrzał, Ralph miał przelotne, lecz niezapomniane wrażenie, że patrzy właśnie w głąb rozpalonego pieca. Nigdy jeszcze w oczach żadnego człowieka nie dostrzegł tak całkowitej, tak bezmyślnej furii. Nie podejrzewał nawet, że furia taka może w ogóle istnieć. Jego pierwszym odruchem było uskoczyć, ale zdołał się opanować i ani drgnął. Pomyślał, że jeśli uskoczy, Ed rzuci się na niego jak wściekły pies, gryząc i drapiąc. Bzdura, oczywiście, Ed to naukowiec, chemik, Ed jest członkiem Klubu Książki Miesiąca (należał do tej nielicznej grupy ludzi, którzy prawie zawsze wybierają dziesięciokilogramowe historie Wojen Krymskich, umieszczone w ofercie zastępczej), Ed jest mężem Helen, ojcem Natalie... do diabła, Ed to przyjaciel!

Tylko że teraz to był inny Ed i Ralph doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Zamiast uskoczyć pochylił się, złapał go za ramiona (takie gorące pod cienkim podkoszulkiem, takie nieprawdopodobnie, okropnie gorące) i przysunął twarz do jego twarzy, aż zasłonił Grubego przed tym upiornym, nieruchomym wzrokiem.

— Daj spokój — powiedział donośnym, spokojnym i stanowczym głosem, którego, jak przypuszczał, używa się wobec historyków. — Nic ci się nie stało. Daj spokój!

Przez chwilę Ed stał tak, patrząc przed siebie nie widzącymi oczami, a potem najwyraźniej rozpoznał twarz Ralpha. Nie wiele to dało, ale Ralph mimo wszystko poczuł ulgę.

— Co się z nim dzieje? — spytał ukryty za jego plecami Gruby. — Oszalał? Jak pan myślisz?

— Jestem pewien, że już czuje się dobrze. — Wcale nie miał takiej pewności. Wypowiedział te słowa kącikiem ust, nie spuszczając wzroku z twarzy Eda. Nie ośmielił się spuścić wzroku z twarzy Eda, czuł, że tylko w ten sposób może go kontrolować... jeśli w ogóle go kontroluje. — Po prostu zdenierwował go wypadek. Potrzebuje kilku chwil, żeby dojść do siebie i...

— Spytaj go, co ma pod tą płachtą! — wrzasnął nagle Ed, wskazując palcem na coś za plecami Ralpha. Błysnęło, przez chwilę blizny po młodzieńczym trądziku wystąpiły bardzo wyraźnie na jego twarzy niczym na dziwnej mapie, wskazującej miejsce ukrycia zakopanych skarbów. Zagrzmiało. — Hej, hej, Susan Day! — zaśpiewał Ed cienkim, dzieciennym głosem i na ramiona Ralpha wystąpiła gęsia skórka. — Ile dzieci na sumieniu masz?

— Nie doszedł do siebie — oznajmił Gruby. — To wariat. Kiedy przyjedzie policja, dopilnuję, żeby go zamknęli.

Ralph zerknął za siebie. Bagażnik pikapa przykryty był płachtą, przymocowaną jaskrawożółtą linką. Pod płachtą wyraźnie rysowały się okrągłe kształty.

— Ralph? — rozległ się jakiś cichy głos.

Po jego lewej stronie, obok pikapa, stał Dorrance Marsteller, przeszło dziewięćdziesięcioletni, z pewnością najstarszy ze Starych Pryków z Harris Avenue. W bladej, pokrytej wątrobianymi plamami dłoni trzymał książkę. Miał ją w dłoniach, aż dziw, że się nie rozkleiła. Zapewne był to tomik poezji — Dorrance czytywał wyłącznie poezje. A może wcale nie czytał, tylko wpatrywał się w zmyślnie pozbierane do kupy słowa?

— Ralph, co się stało? Co się dzieje?

Błyskało częściej — fioletowobiałe kły elektryczności. Dorrance podniósł wzrok na niebo; patrzył tak, jakby niepewny był tego, gdzie jest, kim jest i co widzi. W duszy Ralpha coś jęknęło.

— Dorrance... — powiedział i w tej chwili Ed skoczył na niego niczym dzikie zwierzę, nieruchome przedtem tylko dlatego, że zbierało siły. Ralph zachwiał się, lecz ustał na nogach i odepchnął Eda z powrotem na pogniecioną maskę datsuna. Wpadł w panikę. Za wiele działał się naraz. Czuł mięśnie ramion Eda drżące mu pod dłońmi; jakby Ed jakimś cudem połknął jedną z błyskawic, których na niebie było coraz więcej.

— Ralph — powtórzył Dorrance tym samym spokojnym, lecz strwożonym głosem. — Na twoim miejscu więcej bym go nie dotykał. Nie widzę twoich dłoni.

Świetnie. Będę musiał sobie jakoś poradzić z kolejnym szaleńcem. Tylko tego mi brakowało.

Zerknął na swoje dłonie — były na miejscu — a potem na starego.

— O czym ty gadasz?

— Twoje dłonie — tłumaczył mu cierpliwie staruszek. — Nie widzę twoich dłoni.

— To nie miejsce dla ciebie, Dor... no, znikaj.

Twarz starego rozjaśniła się nieco.

— Tak! — powiedział jak ktoś, kto przypadkiem odkrył jakąś wielką prawdę. — To właśnie powinienem zrobić. — Zaczął się cofać, a kiedy znów zagrzmiało, skulił się i zakrył głowę otwartą książką. Jej tytuł brzmiał „Buckdancer’s Choice”. — I ty też powinieneś się stąd wynieść. Nie warto mieszać się w sprawy Długoterminowych. Łatwo oberwać.

— O czym ty...

Lecz nim Ralph zdołał skończyć, Dorrance odwrócił się i niepewnym krokiem odszedł w stronę terenu piknikowego. Pasemka siwych włosów, delikatnych jak u nowo narodzonego dziecka, powiewały mu na wietrze.

Jeden problem został w ten sposób rozwiązany, lecz Ralph niedługo się tym cieszył. Dorrance odwrócił uwagę Eda od Grubego, ale teraz Ed znów przeszywał go morderczym spojrzeniem.

— Piczolis! — wypluł jadowicie. — Pieprzyłeś matkę i lizałeś jej piczę!

Niskie czoło Grubego zrobiło się jeszcze niższe.

— Co?!

Ed spojrzał na Ralpha. Chyba wreszcie go poznał.

— Spytaj go, co ma pod plandeką! — wrzasnęła. — Albo jeszcze lepiej niech ci pokaże!

Ralph spojrzał na właściciela pikapa.

— Co pan tam wiezie? — spytał.

— Co komu do tego?

Być może Gruby pragnął sprawiać wrażenie stanowczego, ale tylko spojrzał w oczy Eda Deepneau i natychmiast zrobił dwa chwiejne kroki w tył.

— Mnie nic, ale jemu coś — Ralph brodą wskazał Eda. — Niech mi pan pomoże go uspokoić, dobrze?

— To wy się znacie?

— Morderca! — powtórzył Ed i tym razem szarpnął się tak mocno, że Ralph zrobił krok wstecz. Ale działa się coś jeszcze, tak, chyba tak. Puste, przerażające spojrzenie nieruchomych oczu stawało się jakby bardziej ludzkie. W spojrzeniu tym więcej było Eda niż przed chwilą... a może tak się tylko wydawało? — Morderca! Morderca dzieci!

— Jezu, co za wariat. — Gruby obszedł jednak swego forda, odczepił jedną z zamocowanych z tyłu linek i podniósł róg plandeki.

Ford wiózł osiem beczek z grubego prasowanego kartonu, a na każdej z nich znajdował się wielki napis WEED-GO.

— To nawóz organiczny — wyjaśnił. Rozbiegane oczy przenosił z Ralpha na Eda i z powrotem na Ralpha. Dotknął daszka swej reklamowej czapeczki. — Cały dzień pracowałem nad nowymi grządkami przed skrzydłem szpitala dla umysłowo chorych w Derry. Przydałyby ci się tam krótkie wakacje, przyjacielu.

— Nawóz? — zdziwił się Ed. Wydawało się, że mówi sam do siebie. Powoli uniósł lewą rękę i zaczął masować skroń. — Nawóz? — powtórzył jak człowiek zdumiony prostym w zasadzie, lecz rewolucyjnym w skutkach wynalazkiem.

— Nawóz — zgodził się Gruby, zerknął na Ralpha i powtórzył: — Ten facet ma nie po kolei w głowie, wie pan?

— Jest oszołomiony, nic więcej — stwierdził niepewnie Ralph. Pochylił się i postukał palcem w jedną z beczek, a potem spojrzał na Eda. — Nawóz — powiedział. — Wystarczy ci?

Żadnej odpowiedzi. Ed zaczął sobie masować drugą skroń. Wyglądał jak ktoś cierpiący na straszliwą migrenę.

— Wystarczy ci? — powtórzył łagodnie Ralph.

Ed zamknął oczy na chwilkę, a kiedy je otworzył, lśniły... być może od łez. Wysunął język i dotknął nim delikatnie najpierw jednego, a potem drugiego kącika ust. Końcem jedwabnej chusty przetarł sobie czoło i w tym momencie Ralph dostrzegł na niej jakieś chińskie ideogramy.

— Chyba jednak... — powiedział i przerwał. Oczy znów rozszerzyły mu się w sposób, który bardzo się Ralphowi nie podobał. — Dzieci! — wychrypiął. — Rozumiesz, co mówię? Dzieci!

Ralph pchnął go na samochód po raz trzeci czy czwarty; właściwie stracił już rachubę.

— O czym ty mówisz, Ed? — Nagle zaświtało mu w głowie. — Chodzi ci o Natalie? Boisz się o Natalie?

Cwany uśmieszek skrzywił wargi Eda, gdy spojrzał nad ramieniem Ralpha wprost w oczy Grubego.

— Nawóz, co? No, to jeśli wiesz nawóz, nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, żeby otworzyć jedną z tych beczek?

Gruby popatrzył niepewnie na Ralpha.

— Potrzebny mu lekarz — orzekł.

— Być może. Ale, moim zdaniem, zaczął się uspokajać. Czy mógłby pan otworzyć którąś z beczek? Może potem poczuje się lepiej?

— Jasne, pewnie. Jak się powiedziało „a”...

Znów błysnęło, znów rozległ się grzmot — ten już wydawał się toczyć z hukiem po całym niebie — i na spoconą szyję Ralpha padła pierwsza kropla deszczu. Zerknął w lewo. Dorrance Marstellar stał na samej granicy terenu piknikowego, trzymając w ręku książkę. Obserwował ich z niepokojem.

— Cholernie poleje, tak na oko — stwierdził Gruby. — Nie wolno dopuścić, żeby nawóz zamókł. Zacznie się reakcja chemiczna. Więc patrzcie szybko. — Przez chwilę szukał czegoś między beczką a burtą pikapa, aż znalazł pręt spłaszczony na końcu. — Jezu, co ja robię? Muszę być tak samo szalony jak on — wyznał Ralphowi. — Bo przecież po prostu jechałem do domu i nikomu nie przeszkadzałem. To on wpadł na mnie.

— Niech pan otworzy beczkę. To potrwa zaledwie chwilę.

— Pewnie — zgodził się Gruby, podważając wieko. — Ale wspomnienia zostaną na całe życie.

W tym momencie zagrzmiało, więc nie usłyszał następnych słów Eda. Ralph je usłyszał i zaciążyły mu na żołądku jak bryła lodu.

— Pełno w nich trupów dzieci. Zobaczycie.

Gruby otworzył beczkę, Ed zaś przemówił z takim przekonaniem, że Ralph wręcz uwierzył, iż zobaczy płataninę rącek, nówek i mnóstwo łysych dziecięcych główek. Dostrzegł jednak tylko mieszankę drobnych niebieskich kryształków i brązowego pyłu, pachnącą mocno zgnilizną i lekko chemikaliami.

— No i co? Zadowolony? — Tym razem Gruby przemówił wprost do Eda. — A jednak nie jestem ani Rayem Joubertem, ani Dahmerem, prawda?

Na twarzy Eda znów pojawił się wyraz zmieszania, a kiedy

huknął grzmot, Ed drgnął. Pochylił się, sięgnął w stronę pojemnika i spojrzał na Grubego. Gruby skinął głową. Ralph miał wrażenie, że w geście tym było sporo sympatii.

— Jasne, wsadź pan tam łapę, mnie to nie przeszkadza. Ale jeśli zacznie padać, będziesz pan tańczył jak John Travolta. To świństwo zrobi się żrące.

Ed wziął w garść odrobinę nawozu i przesypał go między palcami. Spojrzał na Ralpha niepewnie, a także chyba ze sporą dozą wstydu, po czym wsadził rękę w nawóz aż po łokieć.

— Hej! — krzyknął zaskoczony Gruby. — To nie krakersy z niespodzianką!

Przez moment na ustach Eda znów zagościł cwany uśmiešek — „widzisz, nie tak łatwo mnie oszukać” — i znikł, gdy tylko okazało się, że w beczce rzeczywiście nie ma nic oprócz nawozu. Wyciągnął rękę, brudną i śmierdzącą. Nad lotniskiem błysnęło; huk grzmotu był już ogłuszający.

— Wytrzymaj pan to z ręki, nim zacznie padać, ostrzegam. — Gruby sięgnął do forda przez okno od strony pasażera, wyjął torebkę po hamburgerach McDonalda, pogrzebał w niej, znalazł kilka serwetek i podał je Edowi. Ed zaczął czyścić sobie ramię jak ktoś pogrążony w głębokim śnie, Gruby zaś nałożył pokrywkę na pojemnik, przybijając ją wielką, piegowatą garścią i rzucając zaniepokojone spojrzenia na ciemne niebo. Kiedy Ed dotknął jego ramienia, zeszytniał i odsunął się. Spojrzenie miał bardzo uważne.

— Chyba powinienem pana przeprosić. — Po raz pierwszy głos Eda wydał się Ralphowi całkowicie... normalny.

— Cholerna racja, przyjacielu — stwierdził Gruby, ale w jego głosie brzmiała wyraźna ulga. Rozciągnął plastikową płachtę, zawiązał linki kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami. Ralph obserwował go, myśląc o tym, jak strasznym złodziejem jest czas. Kiedyś potrafił zrobić coś takiego równie sprawnie, dziś także potrafiłby to jeszcze zrobić, ale zajęłoby mu to jakieś dwie, trzy minuty... i z pewnością nie obeszłoby się bez kilku jego najłepszych przekleństw.

Gruby poklepał płachtę i odwrócił się w ich kierunku. Ramiona skrzyżował na wielkiej piersi.

— Widział pan wypadek? — spytał Ralph.

— Nie — odparł natychmiast Ralph. Nie wiedział, dlaczego kłamię, ale decyzję o wypowiedzeniu tego kłamstwa podjął błyskawicznie. — Patrzyłem na lądujący samolot. United.

Kompletnie zaskoczony obserwował, jak czerwone plamy

rozlewają się Grubemu na całe policzki. Też na niego patrzyłeś, pomyślał. Patrzyłeś nie tylko, jak ląduje, ale i jak kołuje do terminalu, inaczej byś się tak nie czerwienił.

Zaraz potem nastąpił przebłysk jasnowiedzenia. Gruby był najwyraźniej pewien, że to on spowodował wypadek albo przynajmniej że kiedy pojawią się gliny, odczytają to w ten właśnie sposób. Obserwował samolot i nie widział, jak z bocznej dróżki beztrzesko szarżuje na niego datsun.

— Proszę pana, naprawdę bardzo mi przykro — powiedział Ed. Wyglądał, jakby było mu więcej niż przykro... jakby był wręcz rozczarowany. Ralph stwierdził nagle, że wątpi w szczerść jego przeprosin i że być może nie ma najmniejszego pojęcia
(*Hej, hej Susan Day*)

co tu się właściwie zdarzyło... a właściwie to kim, do diabła, jest ta Susan Day?

— Uderzyłem głową w kierownicę — tłumaczył Ed. — Chyba... coś poprzestawiało mi się we łbie.

— Co to, to tak. — Gruby podrapał się po głowie, spojrział na ciemne, groźne niebo, a potem znów na Eda. — Chcę ci coś zaproponować, kolego — powiedział.

— Tak? Co takiego?

— Wymieńmy tylko nazwiska i numery telefonów zamiast całego tego gówna z ubezpieczeniami, a potem rozjedźmy się jak przyjaciele.

Ed niepewnie spojrział na Ralpa, a później na grubasa w reklamowej czapeczce West Side Gardeners.

— Jeśli wmiesza się w to policja — mówił dalej Gruby — zrobi się gówniana sprawa. Podłączą się do komputera i od razu odkryją, że zimą zatrzymano mi prawo jazdy za prowadzenie po kieliszku i że jeżdżę na tymczasowym pozwoleniu. Będą mi robić kłopoty, choć jechałem główną drogą i miałem pierwszeństwo przejazdu. Rozumiesz mnie?

— Tak, oczywiście. Chyba tak, ale przecież to ja spowodowałem ten wypadek. Jechałem za szybko...

— Tylko że sam wypadek może akurat okazać się mało ważny. — Gruby spojrział nieufnie na mikrobus, który, żeby ich ominąć, musiał zjechać aż na pobocze, po czym znów zwrócił wzrok na Eda i rzekł pośpiesznie: — Zgubiłeś trochę oleju, ale już przestał ciec. Jestem pewien, że dojedziesz do domu... jeśli mieszkasz w mieście. Mieszkasz w mieście?

— Tak.

— Zwróć ci za naprawę... do jakichś pięćdziesięciu dolców.